

**Od autora:** Był rok 1987... A może już 1988? Kto by to teraz pamiętał!

---

Listy to bardzo dobry wynalazek, szczególnie dla tych, którzy lubią je pisać i oczywiście otrzymywać. Ja zaliczałem się do takich ludzi. Nie wiem, czy znalazłby się jeszcze ktoś, kto prowadził tak obszerną korespondencję, jak ja. Wszystko zaczęło się od tego, że pewnego dnia, razem z moim kolegą Mariuszem, postanowiliśmy skończyć z życiem w samotności. Wysłaliśmy ogłoszenie do „Gazety Młodych” i po dwóch miesiącach otrzymaliśmy dwadzieścia pięć listów od dziewczyn z całej Polski. Mariusz dość szybko zrezygnował z tej formy zawierania znajomości, ale mnie bardzo przypadła do gustu. Może dlatego, że lubiłem pisać i język polski był w technikum moim ulubionym przedmiotem?

Beata z Olkusza była pierwszą dziewczyną, którą traktowałem na serio. Z ogromną niecierpliwością oczekiwałem na listy od niej. Wiele obiecywałem sobie po tej znajomości, ale chyba całkiem niepotrzebnie. Nie wziąłem pod uwagę tego, że jestem nieśmiałym, nieatrakcyjnym siedemnastolatkiem, nie mającym żadnego doświadczenia w kontaktach z płcią przeciwną, w dodatku starszą o rok. Pisanie listów to nie to samo co rozmowa w cztery oczy i dlatego pewnie brakowało mi trochę tematów do rozmowy. Erudytą nigdy nie byłem, a szkoda. Spotkaliśmy się raptem trzy czy cztery razy, w tym raz w Rzeszowie, gdzie Beata przyjechała z wycieczką. Pamiętam pierwsze spotkanie w Krakowie, pod pomnikiem Mickiewicza. Osobowy nie dość, że włożył się cztery godziny to jeszcze się spóźnił. Na Rynek dotarłem zziębnięty, po umówionym czasie, z paniką w oczach. Kilka razy obszedłem Adasia dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłem twarzy znanej mi tylko z fotografii. Ręce mi opadły w bezsilnej złości, bo nie wiedziałem, czy już była i nie doczekawszy się mnie poszła sobie, czy też w ogóle jej nie było? I wtem ujrzałem ją, też zdyszana, biegnącą do pomnika... Tak obiektywnie rzecz biorąc, była przeciętnej urody, ale podobała mi się i zauroczyła mnie dogłębnie. Zakochałem się w niej po czubek głowy. Była moją pierwszą, wielką miłością, taką można rzec niepokalaną, bo nigdy nie doszło między nami do bliższego kontaktu, nie licząc kilkunastu skradzionych pocałunków. W Krakowie spotkaliśmy się chyba jeszcze raz, po roku znajomości, a potem jesienią przyjechała na trzy dni z klasową wycieczką do Rzeszowa. No i tu zawaliłem na całej linii. Nocleg mieli w schronisku młodzieżowym, gdzie były sale wieloosobowe i nie było warunków do spotkania we dwoje. Miałem wprawdzie plan, żeby zabrać Beatę na spacer po mieście albo do mnie do domu, ale pierwszego dnia widziałem Beatę przelotnie, jakieś pięć minut, bo jej wychowawczyni nie wyraziła na to zgody. Może gdybym był bardziej kreatywny, to poszedłbym prosić razem z nią, ale wtedy nie przyszło mi to nawet do głowy. Efekt mógł być taki sam, ale takim posunięciem zyskałbym w oczach Beaty. Drugiego dnia wyszła do mnie, pod pomnik i poprosiła, żebym chwilę zaczekał. Już był w ogródku, już witał się z gąską... Po godzinie czekania poszedłem do schroniska i odnalazłem ją siedzącą na łóżku i piszącą kartki. Z naszych planów nic nie wyszło. Gdybym miał więcej odwagi, to poszedłbym do jej wychowawczyni i próbował wyżebrać choć godzinkę spaceru. A tak nie pozostało nam nic innego, jak miejsce stojące, przy parapecie, na półpiętrze, gdzie spędziliśmy trzy godziny. Skradłem jej kilka całusów i jak miało się później okazać, były to nasze pierwsze i ostatnie pocałunki. Był to ten przysłowiowy gwóźdź do trumny, bo niedługo po tym Beata napisała, że nie spełniam jej oczekiwań, że o kobietę trzeba walczyć, zabiegać, a ja cóż, zachowałem się jak ta pizda. Bardzo przeżyłem to rozstanie. Pamiętam, że leżałem na wersalce i płakałem rzewnymi łzami. Później los dał mi nieoczekiwane jeszcze jedną szansę na naprawę popełnionych błędów, ale zachowałem się trochę jak chłop z Polesia (jak mówił doktor Stelmach do Karwowskiego w „Czterdziestolatku”).

Dość długo nie mogłem otrząsnąć się po tym ostatnim liście, w którym Beata kończyła definitywnie naszą znajomość. Jednak życie nie znosi próżni. Przestałem się nad sobą rozczulać, wziąłem się w końcu w

garść i postanowiłem zacząć od nowa, czyli od zamieszczenia kolejnego ogłoszenia. Dostałem całą masę listów i miałem kłopot z wyborem. Nawiązałem kontakt z kilkoma dziewczynami, między innymi z Ewą i Kasią, która nieco później odegrała znaczną rolę w moim życiu. Na początek zainteresowałem się Ewą, mieszkającą w niewielkiej wsi nieopodal Kętrzyna. Po pierwsze dlatego, że ze zdjęcia spoglądała na mnie śliczna siedemnastoletnia dziewczyna, po prostu anioł, a po drugie to zaprosiła mnie do siebie na wakacje. Zaryzykowałem. Rodzice, ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu, wyrazili zgodę na mój wyjazd. Wprawdzie próbowali zważyć jedno na drugie podjęcie ostatecznej decyzji, ale w końcu doszli do porozumienia. Szczególnie zaskoczył mnie ojciec, który był zwykle w opozycji do wszelkich pomysłów, zmian, nowości. Ale jakby nie patrzył, miałem już skończone osiemnaście lat i w świetle prawa byłem dorosły.

Cieszyłem się z tego wyjazdu. Z listów wynikało, że Ewa jest równie samotna jak ja, że też poszukuje bratniej duszy. Poza tym bardzo mi się podobała na tym jedynym zdjęciu, a to również-w moim odczuciu- nie było bez znaczenia. Wiele sobie obiecywałem po tym spotkaniu, ale jak się szybko okazało, zupełnie niepotrzebnie. Podróż trwała długo, bo z przesiadką w Warszawie. Czar prysł już na dworcu w Kętrzynie, gdzie wylądowałem w godzinach porannych. Dość długo rozglądałem się za Ewą po niewielkiej dworcowej poczekalni. Po kilku minutach stwierdziłem, że może nie dojechała z Garbna, gdzie mieszkała, bo w tamtych czasach z autobusami PKS to różnie bywało. Już się przymierzałem do tego, żeby pojechać do tego Garbna, gdy nagle ją dostrzegłem. Stała z boku i przypatrywała się, jak miotam się po całym holu szukając jej wzrokiem. Ale mógłbym długo szukać. Gdzie się podziała ta cud-dziewczyna z fotografii? Przede mną stała całkiem inna osoba. Tutejszy fotograf musiał być mistrzem w retuszowaniu zdjęć. Ona też nie sprawiała wrażenia zachwyconej moim widokiem. Nie dostrzegłem żadnego entuzjazmu w jej oczach. Miałem ochotę uciec stamtąd od razu, zdążyłbym jeszcze na pociąg do Warszawy. Ale jednak tego nie zrobiłem, zostałem na dwa tygodnie.

Do Garbna pojechaliśmy taksówką, bo na autobus trzeba było długo czekać, a rodzice dali mi trochę kasy na wyjazd. Ewa mieszkała w takiej typowej pegeerowskiej wsi, w bloku, na takim osiedlu. Było tu też kilka chałup, szkoła, kościół, jakiś sklep i przystanek PKS. Parę metrów za oknami rozciągały się pola uprawne. Pierwszy raz zetknąłem się z przypadkiem, żeby w bloku była normalna kuchnia węglowa, tak jak we wiejskich chałupach. Co mnie tam tyle trzymało? Z pewnością nie uroda Ewy. Już jej starsza siostra Daniela bardziej mi się podobała. Także nie uczucie, choć wydawało mi się, że ją kocham, ale w gruncie rzeczy wmawiałem to sobie. Zostałem, bo połączyło nas pożądanie, młodzieńcza fascynacja seksem. Zjednoczyły nas noce, a ściślej pieszczoty, jakim oddawaliśmy się pod ich osłoną. To był mój pierwszy, tak intymny kontakt z kobiecym ciałem, okazja do zaspokojenia moich i Ewy seksualnych potrzeb. Choć muszę uczciwie przyznać, że Ewa nie pozwalała mi na zbyt wiele. To najintymniejsze miejsce było strefą niedostępną. Jedynie raz, i tylko ten raz, podniecona moimi pieszczotami, pozwoliła mi sięgnąć ręką pod jej majteczki. Później nie dała już się ubłagać, mimo moich usilnych próśb.

W dzień chodziliśmy trochę po okolicy, parę razy byliśmy w Kętrzynie, pojechaliśmy też do Olsztyna. Spędziliśmy tam cały dzień. Wracaliśmy wieczorem, pociągami, bo z Kętrzyna nie byłoby już o tej porze żadnego połączenia. Ale pociąg nie jechał przez Garbno, tylko przez sąsiednią wieś, Kraskowo, bo akurat tamtędy przebiegała linia kolejowa. No i z tego Kraskowa szliśmy piechotą ze trzy kilometry. W niedzielę obowiązkowo byliśmy w kościele, gdzie cała wieś mogła mnie sobie oglądać. Ale Ewa zrobiła sobie delikatny makijaż, inaczej się uczesała, założyła szpilki i wyglądała jak ta Ewa ze zdjęcia. Bardzo mi się wtedy podobała.

Nie wiem, jak długo jeszcze trwałby mój pobyt w Garbnie, ale Ewa wyjeżdżała do sanatorium do Buska-Zdroju. Ponieważ w Warszawie miała przesiadkę, postanowiliśmy, że wyjedziemy razem, a dopiero w

stolicy się rozstaniemy. Pociąg z Kętrzyna przyjeżdżał na Dworzec Wschodni gdzieś tak około dwudziestej pierwszej. Ewa miała przenocować u rodziny, ja miałem jechać dalej. Oczywiście wyszło całkiem inaczej. Pociąg do Rzeszowa odchodził o dwudziestej trzeciej, potem o drugiej dwadzieścia, zaś w kierunku Buska o wpół do trzeciej w nocy, czyli zaraz po moim, a następny po piątej rano. Początkowo Ewa była zdecydowana przespać się u rodziny, a dalej jechać tym porannym pociągiem. Poszliśmy na tramwaj. W oczekiwaniu na „13” próbowałem namówić ją, żeby poczekała ze mną na dworcu i pojechała tym nocnym pociągiem. Międzyczasie przepuściliśmy jedną trzynastkę, bo jakoś nie mogliśmy się rozstać. A potem chyba ze trzy kolejne tramwaje tej linii po prostu nie przyjechały. Linia „41” jeździła za to normalnie. Musiała być widocznie jakaś awaria, bo gdzieś po godzinie pojawiły się trzy składy „13” zmierzające do pętli. Gdy w końcu pojawił się oczekiwany przez nas tramwaj, Ewa powiedziała, że jednak nie pojedzie, bo zrobiło się późno i tak właściwie, to wcale jej się to nie opłaca. I tym sposobem spędziliśmy na Wschodnim pół nocy. Najpierw odjechałem ja, a dziesięć minut później Ewa.

Przyrzekaliśmy sobie wytrwać i spotkać się za rok, ale już kilka tygodni po powrocie do Rzeszowa stwierdziłem, że to jest bez sensu. Trochę przerastało to moje siły, a poza tym tak naprawdę to nie tęskniłem za Ewą tylko za jej ciałem. Z drugiej strony nie miałem odwagi by napisać jej prawdę. Nie wiem dlaczego, ale było mi jej żal. Chciałem również zostawić sobie pewną furtkę na następny rok. Liczyłem na to, że znowu się spotkamy i że będę mógł dać upust swoim seksualnym żądom. Nie widziałem jednak przeciwwskazań, by poznać inną dziewczynę tu, na miejscu. Wysłałem więc kolejne ogłoszenie, co jednak nie przeszkodziło mi w zaproszeniu Ewy na ferie zimowe do Rzeszowa. Niby się cieszyła, ale nic nie obiecywała. W końcu nie przyjechała, bo znalazła się w szpitalu. Miała jakieś kłopoty z żołądkiem. A może wcale nie była w szpitalu, tylko był to taki wykręt, żeby nie przyjechać?

Oferty na moje ogłoszenie nadeszły w lutym. Nie było ich wiele, ale wybrałem kilka. Tu trzeba dodać, że informowałem Ewę o moich posunięciach, wychodząc z założenia-błédnego zresztą- że należy być szczerym do bólu i mówić sobie o wszystkim. Dlatego też listy od Ewy miały bardzo zmienny charakter. Raz były pełne ciepła i pogody, a raz oschłe, złośliwe, pozbawione uczucia.

Bożena, z którą zacząłem korespondować, mieszkała w Jasle. Wtedy do Jasła było całkiem dobre połączenie kolejowe. Jakies sześćdziesiąt kilometrów pociąg pokonywał w dwie godziny. Jeździły też PKS-y, ale pociąg zawsze był pewniejszy, bo zabierał wszystkich. Pewnej marcowej soboty pojechałem do Jasła i spotkałem się z Bożeną. Od razu mi się spodobała. Była miła, sympatyczna, może trochę nieśmiała, ale za to ładna. Ja też musiałem wpaść jej w oko, bo przez cały czas obdarzała mnie taksującym spojrzeniem i wcale nie protestowała, gdy na pożegnanie pocałowałem ją w policzek. Te kilka popołudniowych godzin spędziliśmy trochę spacerując , a trochę w jakiejś knajpie, przy herbacie i nieco wyschniętych ciastkach. Ale takie to były czasy, że trudno było znaleźć miły lokal w prowincjonalnym mieście.

Znalazłem się w rozterce. Z jednej strony Ewa, z drugiej Bożena. Nie wiedziałem, którą mam wybrać? Ale byłem w tej komfortowej sytuacji, że mogłem grać na dwa fronty. Prawdopodobieństwo, że się spotkają przypadkiem, było żadne. Niestety, byłem zbyt uczciwy, by przystać na takie rozwiązanie. W końcu postanowiłem napisać o wszystkim Ewie, a Bożenie nie robić większych nadziei i zachować w stosunku do niej odpowiedni dystans. Wprawdzie spotkałem się z nią jeszcze raz, u mnie w Rzeszowie, ale nie zdecydowałem się na kontynuację tej znajomości. Patrząc na to teraz z perspektywy czasu, jestem przekonany, że popełniłem ogromny błąd odtrącając Bożenę, a trzymając się kurczowo Ewy tym bardziej, że moja znajomość z nią zaczęła opierać się na wariackich papierach.

Minął chyba rok od mojego rozstania z Beatą, gdy pewnej marcowej niedzieli (akurat były imieniny oj-

ca) Beata zawitała do mnie wraz z koleżanką. Dorota studiowała w Rzeszowie, a Beata przyjechała ją odwiedzić. Miałem okazję do ponownego kontaktu, do odnowienia znajomości. Gdybym myślał logicznie, to wykorzystałbym ten bonus, bo chyba nie tylko czystej ciekawości zawdzięczałem tę wizytę. Beata zmieniła wtedy fryzurę i wyglądała bardzo atrakcyjnie. I znowu górę wzięła moja nieśmiałość. Uczyłem się jeszcze w technikum, Beata była już studentką i przypuszczalnie przestraszyłem się tej różnicy w poziomie edukacji. Świat studenckiej braci jawił mi się niczym elitarny klub i gdzie tam mnie szaraczkowi uderzać w wysokie progi. Mimo zaproszenia Doroty do odwiedzin u niej w akademiku, odpuściłem temat, a był to wyśmienity punkt zaczepienia. Po niewczasie żałowałem oczywiście szansy, jaką dawał mi los. Mało tego. Napisałem Ewie o tej wizycie i rozpętała się mała burza. Ewa nie potrafiła zrozumieć, że Beata przyszła ot tak po prostu, bez zaproszenia. Dla niej była to rzecz niepojęta, dla mnie tak oczywista, że słońce wschodzi na Wschodzie.

Program zbliżających się wakacji zapowiadał się dla mnie bardzo interesująco. W lipcu szykował się wyjazd do NRD, w sierpniu pielgrzymka i jeszcze międzyczasie spotkanie z Ewą, na które czekałem niecierpliwie, sam nie wiem czemu? Dwa tygodnie w Lipsku miały być nagrodą dla tych, którzy udzielali się społecznie na rzecz szkoły. Ogólnie czułem wstręt do prac społecznych, a załapałem się dzięki szkolnej gazetce, którą sam redagowałem w formie ściennej, w gablocie na parterze, a która oprócz satysfakcji dostarczała mi niekiedy także i kłopotów. Zawsze lubiłem pisać bez ogródek o tym, co mi się podoba lub nie. Ukazywałem niewygodną czasami dla niektórych prawdę, co rzecz jasna nie mogło się wszystkim podobać, a szczególnie Błonie, naszej wychowawczyni, która nazywała się Jabłońska. Niby nigdy nic do mnie nie miała, ale czułem, że coś jej leży na wątrobie. Może miała do mnie żal, że jako jeden ze zdolniejszych uczniów traktuję olewając jej ukochaną fizykę i nie daję się zwerbować do żadnego kółka, ani też nie mam zamiaru zdawać tego przedmiotu na maturze? Żałowałem tylko, że pojedę bez Mariusza Stopy, mojego najlepszego kolegi. On też czuł jakąś awersję do społecznictwa i nie posiadał żadnych zasług na tym polu i nic nie dało się nagiąć. Ale z kolei był najlepszym uczniem w klasie i Błonie nie wypadało zostawić go na lodzie. Długo nie musiała myśleć nad rozwiązaniem tego problemu, bo okazja sama wpadła jej do ręki; obóz PCK w Wysowej. Błona była szalona entuzjastką PCK, prowadziła szkolne koło i właśnie dzięki niej braliśmy udział całą klasą w różnych zawodach drużyn sanitarnych, nie wspominając już o wszelkiej maści konkursach. We wrześniu mieliśmy brać udział w zawodach na szczeblu regionalnym. Mariusz zawsze dowodził naszą drużyną, może chciała, by się coś podszkolił, a może chciała utrzyć mu nosa? Jeżeli chodziło jej o to drugie, to z pewnością jej to nie wyszło i wcale nie zrobiła Mariuszowi na złość, a wręcz odwrotnie.

Ewa nie wyraziła zbytniego entuzjazmu na propozycję przyjazdu do mnie na kilka dni. W lipcu wyjeżdżała do rodziny do ZSRR (chyba chodziło o wyjazd na Litwę, ale wtedy była to jeszcze jedna z republik sowieckiego sojuza), a w sierpniu miała jechać do sanatorium. Do dyspozycji pozostawało jej jedynie pięć dni i stwierdziła, że nie opłaca się jej tłuc tyle godzin w pociągu po to, by spędzić ze mną kilka chwil. Wkurzyła mnie swoją postawą, bo w listach niby tęskniła za mną, pisała czule słówka, a tu nagle taki numer. Podejrzywałem, że to może być kolejny wykręt, że w gruncie rzeczy nie zależy jej na znajomości ze mną, skoro żadne argumenty nie są w stanie jej przekonać. Dopiero nagła śmierć mojej mamy, pod koniec maja, jakoś poruszyła jej serce i chyba z litości zgodziła się przyjechać. Ale wtedy nie miałem głowy, by zastanawiać się z jakimi pobudkami się kierowała. Ważne, że ojciec się zgodził. Nigdy nie wiedziałem, jakiej reakcji mogę spodziewać się z jego strony, dlatego też jakoś nie byliśmy sobie specjalnie bliscy.

Wcześniej czekał nas wyjazd klasowy do Soliny, do którego przygotowywaliśmy się już od dawna. Błona jednak skutecznie hamowała nasz entuzjazm, mącąc ciągle i wynajdując co chwila jakieś trudności obiek-

tywne. Najpierw mówiła, że w ogóle nie pojedzie, bo nie będzie mieszkać w namiocie, potem że musi jeszcze ktoś z nią jechać w charakterze opiekuna, bo sama nie da sobie rady. W końcu jak poprosiliśmy Zosię Stępkowską, naszą pedagog, o asystę dla Błony to ta w końcu namyśliła się i w połowie czerwca wyjechaliśmy na trzy dni na żaglówki. Nigdy nie pływałem żaglówką i początkowo nie miałem zbytnej ochoty na ten wyjazd, ale ostatecznie zdecydowałem się i wcale tego nie żałowałem. Żeglowanie ma w sobie urok, któremu trudno się oprzeć, nawet takiemu „wilkowi morskiemu” jak ja.

Przyjazd Ewy ucieszył mnie, chociaż szybko stwierdziłem, że nic się nie zmieniła przez ten rok. Dalej była taką jedną z wielu, zupełnie przeciętną dziewczyną. Jej brak zewnętrznej atrakcyjności rekompensowały mi intymne chwile z nią spędzone. W nocy wszystkie koty są czarne... Poza tym noc zmiękcza rysy, wygładza wszelakie niedociągnięcia niczym delikatny jedwab. Potrzebowałem kobiety, pożałowałem kobiecego ciała, a cała reszta była dla mnie w tym momencie mało istotna. Ewa pozwalała się całować, pozwalała bym pieścił jej piersi, ale dzielnie broniła swojej cnoty i nawet nie było mowy, by moja ręka zawędrowała poniżej jej pasa. Trochę mnie to wkurzało, bo to w końcu nie mydło i się nie zmydli, ale skoro nie chciała, to nie miałem zamiaru do niczego jej zmuszać. Trzymałem się zasady, że nie należy robić niczego na siłę, bo można wszystko zepsuć i w rezultacie zamiast zyskać- stracić. Ciekawy też byłem, jak dalej potoczy się ta znajomość i kto pierwszy zdobędzie się na to, by powiedzieć: „żegnaj”? . Bo kiedyś ta chwila musiała nastąpić, czułem to przez skórę, tym bardziej, że Ewa nie była pępkiem świata, a ja nie zaliczałem się do ułomnych by nie znaleźć sobie innej, ładniejszej dziewczyny.

\*\*\*\*\*

Wyjeżdżając do Lipska każdy nastawiał się na handel, a nie na zwiedzanie tym bardziej, że niektórzy z nas byli już w Lipsku, a poza tym przydział dewiz był wyjątkowo skąpy, zaledwie 125 DDM. Ta kwota wystarczyłaby może na czekoladę i piwo, ale nie na większe zakupy. Dlatego też najbardziej istotne stały się punkty programu pod nazwą „czas wolny”. Wówczas każdy brał towar pod pachę, głównie lizaki i zegarki z melodyjkami i jechał pod „blaszak”, taki pięciopiętrowy dom towarowy usytuowany w centrum Lipska. Zawsze było tam mnóstwo Polaków, na których tutejsza milicja urządziła co jakiś czas nalot, bo oficjalnie handel był zabroniony. Dlatego trzeba było mieć oczy dookoła głowy i zachować czujność. Z początku martwiłem się, bo nie miałem szczęścia i zegarki nie chciały schodzić, ale ostatecznie sprzedałem wszystkie i nawet żałowałem, że nie wziąłem ich więcej. Lizaki też miały powodzenie, a przecież tutaj słodczy nie brakowało. W sumie, łącznie z wymianą, miałem ponad 900 marek. Nakupiłem mnóstwo różnych rzeczy, których u nas notorycznie brakowało i w efekcie na koniec wyjazdu zostało mi 9 feningów. Wracałem obładowany niczym wielbłąd. W Rzeszowie ledwo zmieściłem się z tymi tobołami do autobusu, bo nawet na taryfę nie miałem pieniędzy. Złotówki,0 które miałem w NRD, wymieniłem po korzystnym kursie na marki, gdy nadarzyła się ku temu okazja.

Pierwszej niedzieli po powrocie z Lipska nie miałem nic do roboty. Nudziłem się, chodziłem z kąta w kąt, zerkając od czasu do czasu przez okno. Lubiłem kontrolować ruch na podwórku. Miało to swoje dobre strony, bo na przykład mogłem odpowiednio wcześniej zauważyć kogoś znajomego, kto szedł właśnie z wizytą. Miałem jeszcze w tedy czas na zwiniecie pościeli z wersalki, której nigdy nie ścieliłem, bo mi się to nie opłacało, oraz na pobieżne uporządkowanie pokoju. Podobnie było tym razem. Wyglądałem kontrolnie przez okno i zobaczyłem Mariusza z jakąś nieznaną mi dziewczyną. Pokiwałem mu ręką na powitanie i rzuciłem się pospiesznie do nadania pokojowi przyzwoitego wyglądu. Zwinąłem pościel i wy-

- niosłem ją do drugiego pokoju. To samo uczyniłem z moją garderobą rozwaloną na całej szerokości fotela. Zdążyłem jeszcze poprawić narzutę na wersalce, gdy rozległ się dzwonek.
- To jest Agnieszka – Mariusz przedstawił średniego wzrostu blondynkę o niebieskich oczach i miłej aparycji. Wyglądał przy tym na trochę skonsternowanego, jakby nie był pewien czy wpuszczać go do środka.
  - Bardzo mi przyjemnie, jestem Piotrek.
  - Nie gniewasz się, że tak przyszliśmy do ciebie? – Mariusz najwyraźniej miał jakieś obiekcje. Może nie czuł się jeszcze zbyt pewnie u boku nowej dziewczyny, bo znajomość wyglądała na całkiem świeżą.
  - Ale co ty? Nie żartuj! Wejdźcie do pokoju.
  - O, widzę, że zaścieliłeś łóżko? Ziba nigdy nie zaściela łóżka – dodał tonem wyjaśnienia dla Agnieszki.
  - Nigdy nie ma na to czasu, ale czasem, od wielkiego święta...
  - Tak, widział nas, że idziemy i szybko zwinął manele.
  - Szybki refleks to podstawa. Dawno wróciłeś z tego obozu?
  - O, już ze dwa tygodnie temu. Skrócili nam turnus, bo zabrakło im pieniędzy na utrzymanie tego burdelu, bo inaczej tego nie można nazwać. Ale mimo wszystko było fajnie i nie żałuję, że pojechałem. Przynajmniej poznałem Agnieszkę...
  - No, to chyba raczej ja ciebie poznałam – wtrąciła Agnieszka. – Nie wiem, czy wiesz, ale mój Mariuszek to taka dupcia. Jak jechaliśmy do Wysowej, to Jacuś Maślana zaczepiał mnie i koleżankę, bo siedzieliśmy obok, a to cielę siedziało i czytało gazetę.
  - A nie przesadzaj, wcale tak nie było! – Mariusz spłoszył nieco na twarzy i usiłował zbagatelizować całą sprawę.
  - No nie, pewnie! A kto grał ze mną w kometkę, ty czy Maślana? On mnie podrywał, a ty się przyglądałeś!
  - Ale i tak dobrze na tym wyszedłem. Jacuś znalazł sobie potem Lidzię i dał ci spokój.
  - Tak, to chyba ona jego znalazła. Mówię ci – Agnieszka zwróciła się do mnie – dziewczyna dwadzieścia dwa lata, rozwódka, z dwojgiem dzieci, a Maślana zabijał się w niej na amen. Ale to ona go omotała i to dosyć zręcznie, a Jacuś dał się skusić. Jaja nie z tej ziemi.
  - No, rzeczywiście niezły numer.
  - Tylko żeby Maślana nie wpakował się jeszcze w jakieś kłopoty, bo on jeszcze głupi i niewyżyty, a Lidzia bardzo lubi ten sport. Już tam oni niezłe dawali sobie czaadu.
  - No, nie tylko oni – wtrącił Mariusz.
  - Tak, tak, nie tylko oni. Szczególnie chłopcy z waszego domku. Ich domek to był taki domek pod czer-

woną latarnią. Była tam taka jedna dziewczynka, która chętnie to robiła, a odbywało się to głównie w domku Mariusza, za takim przepierzeniem.

- Z tego widać, że atmosfera na obozie była bardzo luźna.
- O tak, a najluźniejszy był komendant obozu, Sławek Kalinowski. Non stop laził zalany.
- Oj, gdyby Jabola się o tym dowiedziała, to by się zapłakała z rozpaczy.
- Kto to jest Jabola?- zapytał Agnieszka.
- To nasza wspańska pani wychowawczyni, która wysłała mnie właśnie na ten obóz – wyjaśnił Mariusz.
- To musisz podziękować tej pani, Mariuszu, bo gdyby nie ona, to byś mnie nie poznał.
- Oczywiście, Agnieszko, ucałuję ją serdecznie, jak tylko ją spotkam – powiedział z sarkazmem Mariusz i roześmiał się. – A jak tam było w Lipsku? – zmienił temat.
- Świetnie. Wszystko dobrze, oprócz jedzenia, bo musiałem się trochę dokarmiać indywidualnie. Zrobiłem masę zakupów, cały plecak, duża torba i jeszcze taka mniejsza. Ogólnie wiele się tam nie zmieniło. Dalej kwitnie handel pod blaszakiem.
- A Przystojny?
- No, miałem tę przyjemność mieszkać z nim w jednym pokoju. Ale dało się wytrzymać, chociaż muszę przyznać, że pewne nawyki weszły mu już w krew. Mam na myśli jedzenie po kryjomu. Ciągłe kupował ciastka, chował do szafy i wyjadał po trochu ukradkiem. A raz kupił sobie wino i sam je wypił. Nawet łyka mi nie dał.
- Agnieszko wiesz, który to jest Przystojny? Spotkaliśmy go przedwczoraj na Kochanowskiego.
- Ten taki burak?
- Ten sam.

Agnieszka zrobiła zbolaną minę.

- Ja piernicę, Mariuszu, czemu ty masz takich strasznych kolegów?
- No wiesz, Agnieszko, kolegów się nie wybiera. Sami do klasy przyłazą. Zresztą Przystojny jest takim ro-dzynkiem, jedynym w swoim rodzaju, bo już na tern przykład Pietrek nie jest burakiem...
- Bo jak cię kopnę...

Roześmieliśmy się.

- A jak tam twoja twórczość? – zagadnął Mariusz. – Pisziesz coś jeszcze?
- No, na razie kończę kolejną powieść. Powinna być raczej niezła.

- Piszesz coś? – zainteresowała się Agnieszka.

- Takie tam bzdury- odparłem skromnie. – To są w zasadzie takie dłuższe opowiadania o sensacyjnej fabule.

- To ekstra! Mógłbyś mi coś pożyczyć?

- W sumie, czemu nie? – odpowiedziałem z dozą niechęci w głosie. Wciąż bowiem miałem w pamięci jedno z moich opowiadań, które swego czasu pożyczyłem Mariuszowi, a on z kolei dał je swojej ówczesnej sympatii. Potem on się z nią rozstał, a ja rozstałem się z opowiadaniem. Nie chodziło mi o to, że przedstawiało jakąś większą wartość artystyczną, bo było to jedno z moich pierwszych opowiadań, ale stanowiło dla mnie swego rodzaju pamiątkę. Nie miałem pojęcia, jak długo Mariusz zamierza kręcić z Agnieszką i obawiałem się, by nie skończyło się to tak jak poprzednim razem. Niestety, pisałem ręcznie, w szkolnych zeszytach i tylko w jednym egzemplarzu. Agnieszka musiała wyczuć moje wahanie.

- Nie musisz się obawiać, oddam ci na pewno, nawet gdybym czasem rozstała się z Mariuszkiem. Ale nie sądzę, żeby do tego doszło, prawda Misiu?

-Ależ oczywiście kochanie!

Fakt, że na razie nic nie zapowiadało rychłego rozstania tych dwojga, ale w życiu jak na wojnie; chłop strzela, Pan Bóg kule nosi. Nigdy nie można być do końca pewnym swego. „Każdy z nas ma trochę za dużo wiary we własne przekonania, a trochę za mało szacunku dla cudzych”, jak powiedział Bolesław Prus. Gdy człowiek przekona się, że już dostatecznie ugruntował swoją pozycję, to potem obrasta w piórka i wydaje mu się, że nic nie zdoła zmienić tego stanu rzeczy. Nie bierze pod uwagę tego, że druga osoba może mieć zgoła inne zapatrywania na tę samą sprawę. Mariusz, póki co, nie sprawiał wrażenia pewnego siebie, ale początki znajomości zawsze obfitują w uprzejmości, słodkie słówka i nienaganne manieiry. Później dopiero wychodzi sztydło z worka. Jeśli ktoś jest chamem, to zrzuca przywdzianą maskę, bo najlepiej czuje się w swoim naturalnym stroju. Ale ktoś kulturalny nie zmienia się, choć czasem może zapomina o swych dobrych manierach i troszkę słomy wyłazi mu z butów, ale można mu to wybaczyć. Mariusza nigdy nie zaliczałem do chamów, nie mniej ciekawy byłem, jak długo będzie chodził z Agnieszką? Oczywiście życzyłem mu, aby trwało to jak najdłużej. Przyłapałem się jednak na tym, że mu zazdroszczę. Gdzieś tam w głębi mej duszy tliła się jakaś iskierka wywołująca to uczucie. Było mi żal, że w gruncie rzeczy jestem sam, bo przecież Ewa była daleko. Pomyślałem sobie, że chyba się jednak przeliczyłem, że taka miłość na odległość to nie dla mnie. Poza tym czy faktycznie była to miłość? Czy ta odrobina seksu warta była tego miana? Na pewno nie. Goethe powiedział, że nie można żyć dla każdego, szczególnie nie można zaś żyć dla tych, z którymi nie chciałoby się żyć. A czy ja chciałem żyć z Ewą? Nigdy. Wprawdzie gdy byłem u niej to plotłem różne bzdury na temat wspólnej przyszłości, ale ona nie brała tego na serio. Dlaczego więc nie miałem odwagi nią zerwać, napisać jej, że to koniec znajomości? Czy kierowała mną litość, tak jak litość kierowała Ewą, gdy zdecydowała się w końcu do mnie przyjechać? Musiałem uporządkować swoje sprawy, ale postanowiłem wstrzymać się jeszcze przed podjęciem decyzji.

\*\*\*\*\*

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

jelcz392, dodano 26.10.2021 20:49

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).